

A. CONAN DOYLE.

Przez mgłę.

Tłumaczył Bronisław Falck.

Był rosnym, piegowatym, o kędzierzawej czuprynie wyspiarzem i pochodził w prostej linii z plemienia, zajmującego się kradzieżą bydła w Liddesdale. Mimo obciążenia dziedzicznego był prawym i uczciwym obywatelem, jak się patrzy, radcą miejskim w Melrose, dostojnikiem Kościoła i prezesem miejscowej Y. M. C. A. Nazywał się Brown — imię jego widniało wydrukowane jako „Brown i Zandiscide” na szyldzie jednego z wielkich sklepów korzennych w ulicy High Street. Żona jego, Madzia Brown nosiła przed ślubem nazwisko Armstrong i pochodziła z starej rodziny wiejskiej, osiadłej w pustkowiu Tavothead. Była niewielkiego wzrostu, o ciemnej cerze i czarnych oczach, a temperament miała, jak na Szkotkę bardzo wrażliwy. Nie mogło być większego kontrastu, jak między tym bladym, wielkim mężczyzną i czarną kobietką, ale oboje wyrodzili się z tej ziemi, jak daleko sięgnąć można było pamięcią.

Razu pewnego — w pierwszą rocznicę ślubu — wybrali się oboje na wycieczkę do wykopalisk rzymskiego portu w Newstead. Miejsce to nie odznaczało się zbytnią malowniczością. Na północnym brzegu Tweedy, gdzie rzeka tworzy zakręt, znajduje się łagodna spadzistość, podatna pod uprawę. Biegła wzdłuż niej rowy prowadzące do rozkopów, w których tu i ówdzie widać szczątki starych murów po fundamentach dawnych wałów obronnych. Przestrzeń to dosyć duża, gdyż cała opisana połacie kraju ma obszar pięćdziesięciu morgów, z których fort zajmuje piętnaście. Oglądnięcie jej nie było połączone z trudnościami, gdyż Mr. Brown znał właściciela gruntu. Pod jego opieką spędzili długi wieczór leżąc na zwiedzaniu rowów, studni, wałów i całego szeregu tych osobliwości, które czekały na przetransportowanie do edynburskiego muzeum starożytności. Tego dnia właśnie wygrzebano kłamrę od kobiecego paska i właściciel rozwodził się nad tym wypadkiem, kiedy oczy jego padły na twarz pani Brown.

— Żona pańska jest zmęczona — rzekł. — Może odpocniemy chwilkę?

Brown spojrział na żonę. Rzeczywiście była bardzo blada, a czarne jej oczy pały dziko.

— Co ci to, Madziu? Zmęczyłaś się. Czas wrócić do domu.

— Nie, nie, John, chodźmy dalej. To cudowne. Jestem jak w zaczarowanym kraju. Wszystko to zdaje mi się tak bliskim, tak bardzo ze mną związanym. Jak długo przebywali tu Rzymianie, Mr. Curmingham?

— Ładny okres czasu. Gdybyś pani widziała doty na popiół kucharzy, zrozumiałabyś, że trzeba było długich lat na ich wypełnienie.

— A czemu stąd poszli?

— Widocznie musieli. Ludność okoliczna nie mogła ich znieść dłużej, powstała i podpaliła fort. Może pani oglądać ślady ognia na głazach.

Ciałem kobiety wstrząsnął lekki dreszcz.

— Dzika noc — noc pełna trwogi — rzekła. — Niebo musiało być czerwone tej nocy — a i te szare kamienie może były również czerwone.

— Tak, sądzę, że były czerwone — rzekł jej małżonek. — Dziwna rzecz, Madziu... może to wpływ twoich słów, ale widzę wszystko tak jasno, jakbym patrzył na to własnymi oczyma. Łuna odbijała się w wodzie.

— Tak, łuna odbijała się w wodzie. Dym dusił. A dzicy wylili.

Stary gospodarz zaczął się śmiać.

— Pani napisze historję o starym forcie — rzekł. — Pokazywałem wielu ludziom jego resztki, ale nikt mi o nim nie mówił tak barwnymi słowami. Trzeba mieć odpowiedni dar.

Posunęli się kilka kroków wzdłuż brzegu fosi; po prawej stronie od nich znajdowała się studnia.

— Studnia ta miała czternaście stóp głębokości — mówił gospodarz. — Jak pani myśli, cośmy znaleźli na jej dnie? S kielec człowieka, a obok niego oszczep. Przypuszczam, że dzierzył go w chwili śmierci. Ale skąd wziął się człowiek z oszczepem na dnie studni, czternaście stóp głębokiej. Nie pogrzebali go tam, gdyż mieli zwyczaj trupy palić. Cóż pani na to?

— Skoczył tam, aby nie dostać się w ręce dzikich — rzekła kobieta.

— Tak, to bardzo prawdopodobne i żaden profesor z Edynburga nie podaży lepszego wytłumaczenia. S koda, że pani tu niema. Kiedy rozwiązujemy podobne zagadki. Oto ołtarz, odkopany w zeszłym tygodniu. Jest na nim napis. Mówią, że łaciński... Mieszkańcy tego fortu dziękują w krótkich słowach za opiekę bóstwa.

Przyglądali się badawczo zniszczonemu głazowi. Na jego szczycie widniało, głęboko wykute, wielkie „VV”.

— Co ma oznaczać „VV”? — zapytał Brown.

— Nikt nie wie — odparł przewodnik.

— Valeria Victrix — rzekła kobieta cichym głosem. Twarz jej była blada, oczy błękitne gdzieś daleko, jak oczy człowieka, który patrzy przez zawarte wrzeczadze minionych stuleci.

— Co ci jest? — rzekł jej mąż ostrym tonem.

Zadrżała, jakby ją zbudzono ze snu.

— O czym mówił mi? — zapytała.

— O literach „VV” na kamieniu.

— Była to, bez wątpienia, nazwa legjonu, który wystawił ołtarz.

— Tak, lecz pani podała jakąś nazwę specjalną.

— Czy tak? Ale to niema sensu. Skądżebyś znalazła jego nazwę.

— Powiedziała pani, jeśli się nie mylę, *Victrix*.

— Tak przypuszczam! Miejsce to budzi we mnie dziwne uczucia. Zdaje mi się, jakbym nie była sobą, lecz kimś innym.

— Tak, to miejsce nieprzyjemne — rzekł jej mąż, roglądając się dokoła z wyrazem jakby obawy w swych śmiałych, szarych oczach. — Mam podobne uczucie. Sądzę, że najlepiej zrobimy, jeśli powiemy p. Curmingham: dobranoc i wrócimy do Melrose, nim noc zapadnie.

Nie mogli otrząsnąć się z przykrego wrażenia, jakie pozostawiła w duszy wycieczka do wykopalisk. Zdawało się, że z tych wilgotnych rowów przeniknęły w ich żyły jakieś niezdrowe wyziewy. Przez cały wieczór byli milczący i zamknięci, ale z ulotnych słów można było wnosić, że myśleli o tym samym przedmiocie. Brown spędził niespokojną noc, śniąc dziwny sen, tak żywy, że zbudził się, okryty potem, drżąc, jak spłoszony koń. Opowiadał go żonie, kiedy siedzieli rano przy śniadaniu.

— Widziałem wszystko jak na dłoni, Madziu — mówił. — Było to bardziej rzeczywiste, niż sama rzeczywistość. Czuje jeszcze krew na rękach.

— Opowiedz mi — opowiedz wszystko dokładnie — rzekła.

— Kiedy się to zaczęło, znajdowałem się na pochyłości wzgórza. Leżałem na brzuchu, na nieuprawnej ziemi, poprzerastanej krzakami dzikiego zielska. Dokoła mnie było całkiem ciemno, mogłem jednak słyszeć krzaka i oddechy ludzi. Leżało ich, jak się zdaje, całe mnóstwo wokół mnie, ale nie widziałem nikogo. Czasami odezwał się cichy szczeł broni, a potem szereg głosów, wołających: Cicho! Dzierżyłem w ręce sękatą maczugę, która na szczycie nabijana była gwoździakami. Serce było mi głośno, gdyż czułem, że zbliża się chwila wielkiego niebezpieczeństwa i podniecenia. Raz upuściłem maczugę i wówczas głosy dokoła mnie w ciemności zawołały znowu: cicho! Wyciągnęłem rękę i namacałem nogę leżącego przedemną człowieka. Z obu stron, obok mnie, leżeli również jacyś ludzie. Ale nie mówili nic.

Wtem zaczęliśmy się poruszać. Cały stok wzgórz zdawał się przesunąć ku dołowi. Na dole płynęła rzeka, a na niej stał wysoki, drewniany most. Po drugiej stronie mostu widać było liczne światła — płonące na wale pochodnie. Czołgający się ludzie posuwali się ku mostowi.

Cisza panowała zupełna, nie było słychać najmniejszego szmeru. Wtem rozległ się wśród nocy krzyk człowieka, człowieka ugodzonego śmiertelnie. Odbił się donośnym echem, a za nim dał się słyszeć ryk, wyhodzący z tysiąca rozwścieczonych gardzieli. Bieglem. Wszyscy biegli. Jasne, oślepiające, czerwone światło strzeliło w górę, a rzeka przybrała barwę szkarłatu. Mogłem się teraz przyjrzeć moim towarzyszom. Byli to raczej djabył, niż ludzie, dzikie postacie, przybrane w skóry, z rozwianymi włosami i brodą. Byli pijani wściekłością, biegli w podskokach, z rozwarciem ust, wywijając rękoma, a czerwone płomienie oświeślały ich twarze.

Bieglem także i tak, jak inni, wylem i miotalem przekleństwa. Potem usłyszałem wielki trask walącego się drzewa i zrozumiałem, że palisady zerwano. Słyszałem głośny gwizd i zdawałem sobie sprawę, że strzały lecą koło mej głowy. Zeszłem w głąb fosi i ujrzałem, że ktoś podaje mi dłoń. Uchwyciłem za nią i wydostałem się na wierzch. U stóp wałów stali ludzie w srebrzystych zbrojach z nastawionymi oszczepami. Kilku z nas skoczyło na te oszczepy. Poszliśmy za ich przykładem i zabiliśmy żołnierzy, zanim mogli zrobić drugi raz użytek z swej broni. Krzyczeli głośno w jakimś obcym języku, ale nie darowano im życia. Szliśmy naprzód, jak fala, i deptaliśmy ich ciała na proch, było ich bowiem niewielu, a nas nieprzeliczona chmara.

Znalazłem się wśród budynków, z których jeden płonął. Widziałem płomienie, wydobywające się z dachu. Podbiegłem i znalazłem się sam. Ktoś biegł przedemną. Była to kobieta. Chwyciłem ją za rękę i zwróciłem jej twarz ku światłu. Jak sądzisz, kto to był, Madziu?

Żona jego zwilżyła językiem suche wargi.

— To byłem ja — rzekła.

Spojrzał na nią zdumiony.

— Zgadłaś — rzekł. — Tak, to byłaś ty. Nie ktoś do ciebie podobny — ale ty sama. Widziałem ten sam wyraz w jej przestraszonych oczach. Byłaś biała, piękna, czarująca w świetle pożaru. Opanowała mnie jedna myśl — nieść cię gdzieś daleko, zatrzymać przy sobie na zawsze, gdzieś w domu, za górami. Drapałaś mi twarz paznokciami. Przerzuciłem cię przez ramię i starałem się znaleźć drogę, z pośród płonących domów, w ciemność z powrotem.

I teraz stało się coś, co pamiętam najlepiej. — Jest ci niedobrze, Madziu? Czy mam przestać? Wielki Boże! Masz ten sam wyraz twarzy, jak we śnie moim, ubiegłej nocy. Krzyczałaś. On wypadł na oświeconą pożarem przestrzeń. Głowę miał nieprzykrytą: włosy czarne i kręcone się; w rękę dzierżył nagi miecz, krótki, szeroki, niewiele większy od sztyletu. Zamierzył się na mnie, ale poślizgnął się i upadł. Przytrzymałem cię jedną ręką, a drugą —

Żona jego zerwała się na równe nogi, z wykrzywną twarzą.

— Marcus! — krzyknęła. — Mój piękny Marcus! oh! zwierzę! zwierzę! — Padła bez zmysłów na stół, strącając na ziemię filiżanki.

* * *

Nie wspominali nigdy o tym dziwnym, osobnym epizodzie w ich małżeńskim życiu.

Na jedną chwilę uchyliła się zasłona przeszłości i poza nią ujrzeli coś z dawnego, zapomnianego życia. Ale zasłona opadła znowu i nie rozwarła się już nigdy. Żyją życiem codziennym — on w swoim sklepie, ona przy gospodarstwie — a jednak nowe i szerokie horyzonty otworzyły się przed nimi od tego letniego wieczoru, spędzonego w zmurszałym forcie rzymskim.

„NOWINY ŚLĄSKIE”

Pismo narodowo-radykalne — niezależne, wychodzi w każdą środę i sobotę o nakładzie 10.000 egzemplarzy.

Wydawca: **Wojciech Marchwicki**.

Przynosi najaktualniejsze nowiny z całego Górnego Śląska, — **wydobywa na światło dzienne wszelkie nadużycia — surowo broni interesów Państwa i Społeczeństwa polskiego** jest wszędzie do nabycia.

Redakcja i Administracja KATOWICE, Plebiscytowa 24.